

Jose Cabrero siedział na podeście werandy swojego domu. To i tak cud, że nie siedział na ziemi, bo korniki (podobnie jak wszystko co żywe) już dawno się wyniosły, albo poumierły z głodu i pragnienia na tej hacjendzie.

Wziął w garść trochę czerwonej ziemi, powoli wypuszczał i patrzył jak gorący wiatr znad pustyni Chihuahua układał ziarna we wstążkę.

Nie miał już nic i nikogo.

Od kilku lat trwała piekielna susza. Ani kropli deszczu. Razem z Marią sadzili pieczołowicie każde ziarenko kukurydzy i fasoli, starannie uprawiali ogródek i co wieczór podlewali dołki. Uczty Lukullusa nie mieli, funkcjonowali na granicy przetrwania, ale żyli.

Aż parę tygodni temu Jose wyciągnął z ich studni zamuloną wodę i już wiedział, że to koniec.

Stopniowo w wiadrze było coraz więcej mułu, a coraz mniej wody, aż pewnego dnia naczynie stuknęło w dno. Więcej wody nie będzie.

Początkowo nosili ją z żoną z hacjendy starego Miguela. Leżała ona dalej na południe w niecce, więc wody gruntowe były tam wyżej. Do tego łagodniejszy klimat i lepsza ziemia.

Ale stary Miguel był człowiekiem pazernym i zaczął żądać zapłaty. Wszystkie oszczędności życia wydali na wodę, ale Jose z rodziną i tak nie byli w stanie przynieść jej tyle, aby napoić rodzinę, kozę, drób i jeszcze podlać rośliny.

Pierwsza zdechła koza. Nie wiadomo czy z głodu, czy pragnienia, ale w sumie jakie to ma znaczenie? Znaczenie za to miał fakt, że Maria straciła pokarm i mała Juanita karmiona była kozim mlekiem. Kilka dni płakała, zanosila się, aż umilkła. Jose zagrzebał ciało w pylistym gruncie tuż za domem.

Następnie wygrzebał z ziemi część ziaren fasoli, spakował w woreczek, wziął jedną z ostatnich kur i ruszył do odległej wioski.

Kapłan krytycznie przyglądał się jego darowi.

- Chcesz za tak marną ofiarę kupić przychyłność bóstwa? - wymamrotał przez bezzębne dziąsła.

- Panie, nic więcej nie mam. Susza trwa od paru lat. Ludzie i zwierzyzna wymierają. Nic się nie rodzi w ziemi.

Starzec z dezaprobatą kiwał głową.

- Mało krwi. Tlaloc lubi dużo krwi. To woda życia, którą należy mu oddać jeśli się go o coś prosi.

Jose zwiesił głowę.

- Dobrze – mruknął kapłan. - Spróbujemy.

Wieczorem na środku wioski płonęło wielkie ognisko. Starzec odurzony jakimś wywarem z ropuchy wykrzykiwał słowa bez ładu i składu. Zwijał się w paroksyzmach, aby za chwilę przejść do ekstatycznego tańca. Jose patrzył na to trochę przestraszony, trochę zaintrygowany.

Po dwóch godzinach kapłan stanął wyczerpany. Zarznął kurę i jej krwią spryskał ogień.

- Mało krwi – wybełkotał.

Naciął Josemu żyły na przedramieniu, zebrał krew do naczynia i też chlusnął w ogień. Zasyczało. Mężczyzna długo wpatrywał się w ogień.

- Wracaj do domu. Bóstwo wysłuchało twojej prośby. Kura będzie na obiad – dodał.

Po powrocie Jose nie zastał już młodszego syna. Podzielił los kozy. Zajmował się więc byle czym i z nadzieją patrzył w górę. I tak mijały dni.

Wreszcie wygrzebał z ziemi kolejną porcję ziaren, zabrał ostatnią kurę i ruszył do miasteczka. Padre z miejscowej parafii przysłuchiwał się jego intencji.

- Taaak synu, Bóg jest wielki i miłościwy. Jeśli jesteś dobrym i bogobojnym człowiekiem na pewno wysłucha cię i pomoże.

Msza trwała długo. Jose przestępował z nogi na nogę i tłamsił w dłoniach wytłuszczone sombrero. Usłyszał w jakiej intencji jest dzisiejsze spotkanie, obrócił się i ruszył do domu. Tam już nie było pozostałych synów. Wzbogacili kolekcję kopczyków za domem. Maria z pięknej trzydziestolatki o kruczoczarnych włosach stała się wysuszoną staruchą, przypominającą mumie z Chauchilla.

Nic to – pomyślał. - Jest jeszcze młoda kobieta i da mi nowe dzieci. Żeby tylko był deszcz. Więc czekał.

Dziś nie mógł zbudzić żony. Kiedy przytulił się do jej pleców były już zimne.

Siedział na werandzie, która cały czas trzymała się jakimś cudem i puszczał wstążki z czerwonej ziemi. Przez rozpadającą się bramę wbiegł najpierw pies, a za nim wszedł chłopczyk. Miał może z dziesięć lat. Jose przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

- Proszę pana, czy mógłbym się napić wody? Jestem już trzeci dzień w drodze, rodzice zmarli z powodu suszy i idę przed siebie, szukając dobrych ludzi.

- Tu ich nie znajdziesz. - Mężczyzna zbliżył się do chłopca. Nagle z wściekłością zaczął kopać jego i psa. - Wynocha! Tu nie ma dobrych ludzi. W dolinie jest dobry człowiek, stary Miguel i bogowie mu darrzą. Wynocha!

Chłopczyk zaczął płakać, a pies ujadać.

- Nie marnuj wilgoci gówniarzu. Precz!

Został znowu sam. Dziwnie zamglone słońce świeciło mu prosto w twarz. Poszedł do komórki, wziął sznur i zaczął powoli wiązać pętlę. Przerzucił go przez bramę i stanął na skrzynce. Na spragnioną ziemię wylał ostatnie pół litra wody. Wypiła moment.

- Wy skurwysyny tam na górze, jakkolwiek się nazywacie...! - Wyciągnął pięść do nieba.

W momencie, kiedy kopnął podpórkę i tracił równowagę poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Ronin, dodano 23.08.2022 09:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.